

ROZDZIAŁ VI

Okupacja

*M*oja młodość, skończyła się z chwilą wybuchu II wojny światowej. Skończyłem wtedy czternasty rok życia. Z dniem wybuchu wojny dla mnie i całego społeczeństwa zaczynał się zupełnie nowy rozdział życia. Dla każdego był to punkt zwrotny. Dla mnie, przypadł akurat w czasie, kiedy i tak zmiany musiały nastąpić.

Dziecinne i młodzieńcze lata nie mogły trwać dłużej. Były długie, pełne wrażeń, przeżyć, radości i zabaw, co uważam za wyjątkowe szczęście i twierdzę, że musiałem się urodzić pod szczęśliwą gwiazdą, która świeci nade mną do dziś. Mam nadzieję, że do końca życia będzie mi przewodzić, bo nadal doświadczam łask i chwil szczęśliwych, chociaż to już jest zupełnie coś innego.

Mimo wszystko droga, którą idę, jest raczej wygodna, bez wybojów i dziur. Pewnie, że zdarza się jakieś potknięcie, ale ogólnie rzecz biorąc jest tak, jak sobie wymarzyłem, co prawda wielkich wymagań nie stawiałem. W każdym bądź razie, do dnia dzisiejszego, moje plany życiowe spełniają się w odpowiednim czasie i okolicznościach. Często sam się temu dziwię, że to, co pomyśle mi się spełnia po jakimś czasie. Ale wracam do rzeczy.

Trzydziestego pierwszego sierpnia kładłem się spać z myślą o następnym dniu, w którym znowu zabrzmiał dzwonek, wołający na pierwszą lekcję. Teczka z książkami była już naszykowana, więc

spokojnie ułożyłem się i zasnąłem. Rano, nim jeszcze był czas do szkoły, w domu wszczął się jakiś dziwny, gorączkowy ruch. Starsi o czymś dyskutowali, często wychodząc na ulicę, a do mnie zaczęło docierać uczucie strachu, a zarazem ciekawości, co też się dzieje, że wszyscy są już na nogach, mimo wczesnej pory.

W ciszy poranka słychać było wycie syren i warkot samolotów. Zerwałem się i wybiegłem na ulicę, gdzie pełno było grupek ludzi nerwowo dyskutujących. Poszedłem do kolegi, który był już na ulicy i zapytałem, co się stało. On powiedział: „Wojna wybuchła! Niemcy napadli na Polskę!”

Jasne, że nic z tego jeszcze nie rozumiałem, bo przecież Niemców nie było na ulicy i nic się nie działo. Także i nie strzelano, więc ze zdziwieniem przyglądałem się bieganiu starszych. Stopniowo dopiero zacząłem zdawać sobie sprawę, że zaczyna się dziać coś strasznego. Co chwila przybiegał ktoś z jakąś wieścią zasłyszaną przez radio czy też z plotką. Zaczęto mówić, że Łódź jest bombardowana, bo było nawet słychać jakieś wybuchy. Na niebie pojawiły się samoloty lecące na Warszawę, a syreny wyły złowrogo, obwieszczając wybuch wojny. Przez radio odwołano rozpoczęcie szkoły, na płotach pojawiły się jakieś rozporządzenia: zarządzenia o mobilizacji, o zaciemnieniu. Zaczęto kopać schrony.

W miarę upływu godzin wiadomości stawały się coraz bardziej groźne. Wszczął się gorączkowy ruch. Pakowanie tobołów, waliz, plecaków. Wszyscy biegali gorączkowo, dyskutowali, czy iść do wojska czy nie. Ci, którzy byli właśnie w wojsku zaczęli się pakować i każdy szedł do miasta, do koszar. Ruch był tak wielki, że nikt nie myślał o jedzeniu, a jedynie każdy biegał z jednego końca ulicy w drugi i jeżeli tylko ktoś obcy się pokazał, od razu był oblegany. Ci, co przybywali niewiadomo skąd, kazali brać co się da i uciekać, bo Niemcy podobno wszystkich mordują i trzeba się ratować. Inni znów mówili, aby zostać, nie robić paniki, która stała się faktem i coraz bardziej narastała.

Pod wieczór zaczęli się pojawiać pierwsi uciekinierzy z nad granicy i oni byli najgorzej nastawieni. Opowiadali straszne historie o zabijaniu, gwałtach, morderstwach, rabunkach. Każda plotka z godziny na godzinę powiększała się i rosła, powodując strach i grozę. Ludzie łapali się za głowy. Wokół było słychać płacz, krzyki, lament, co rusz ktoś z domu odchodził z węzełkiem, aby nie czekać, aż przyjdą Niemcy. Do późnej nocy biegano, a spać praktycznie się nikt nie kładł, chyba że zasypiał na stojąco.

Noc minęła równie gorączkowo jak i poprzedni dzień. Ranek zaczął się większym ruchem wędrujących ludzi. Od samego świtu jechały wozy załadowane węzełkami, pościelą, walizkami. Na wozach kobiety, dzieci, a za wozami często krowina bądź dwie. Widok był okropny, ale prawdziwy. Ludzie ci opowiadali różne rzeczy, każdy mówił co innego, a wszyscy jechali na Warszawę i wszyscy zgodnie mówili, że Niemcy idą za nimi. Całe masy wojska, czołgów, aut. Że palą i niszczą wszystko, co na swej drodze spotkają.

Najgorsze wieści były spod Wielunia, tam podobno było jak w piekle – tak ludzie opowiadali. Moi dwaj bracia – Stasiek i Czesiek – ubrali się i ruszyli z innymi do Warszawy. Ja byłem jeszcze za młody, więc zostałem w domu. Sporo sąsiadów chciało uciekać, ale mój tata mówił: „Ja tam nigdzie nie uciekam, jak mam zginąć, niech zginę w domu. Zresztą tyle ludzi idzie i nawet miejsca nie będzie na drodze”. Stopniowo jaki taki rozsądek zaczął brać górę nad plotkami i ludzie już nie uciekali tak masowo. Czekali na dalsze wydarzenia.

Pewnie, cała młodzież poszła za wojskiem, bo taki był obowiązek, ale kobiety i dzieci coraz częściej zostawały. Do tego wielu ludzi zaczęło już wracać, bo Niemcy samolotami rozpędzali duże zgrupowania na drogach, rzucając bomby bądź ostrzeliwując. Pojawiać się zaczęły ulotki nawołujące do zachowania spokoju. Do spokoju nawoływało też radio. Stopniowo więc zaczęto się uspokajać, czekając, co z tego będzie.

Przez kilka dni trwał ruch to w jedną, to w drugą stronę. Nie wiem po ilu dniach Niemcy dotarli do nas, ale to nie było długo. Może w trzecim, a może w czwartym dniu na naszej ulicy zjawili się pierwsi Niemcy. Wyglądali groźnie, ale nic takiego okropnego się nie działo, więc ludzie się uspokoiли i pochowali do swych domów, aby się nie narażać.

Nim jeszcze wkroczyli Niemcy, gdzie tylko wojsko opuściło swe magazyny, szła ludność wynosząc, co się dało. Wtedy droga od magazynów usiana była wszystkimi produktami. Najczęściej z chytrości każdy brał dużo, a później, jak nie mógł donieść, usypywał po trochu, niszcząc cenne produkty żywnościowe. Ludzie deptali cukier, mąkę, sól, kaszę. Walały się sprzęty, książki, pięknie oprawione obrazy, meble. Po prostu wszystko można było znaleźć wtedy na ulicy.

Pamiętam, jak na Starym Złotnie wojsko polskie zostawiło całe tabory po stodołach, na wsi, gdzie widocznie kilka dni zamierzali być. Nikt sobie nie wyobraża, jaki tam był olbrzymi majątek. Biegałem tam przez jakieś dwa tygodnie, bo zawsze można było coś wybrać. Na całej wsi, w każdej stodole było coś innego. Od igły po różnego rodzaju maszyny, narzędzia kowalskie, stolarskie, ślusarskie. Gwoździe maleńkie i duże. Było tego całe skrzynie, nowiutkie wszystko i zakonserwowane.

W jednej stodole od polepy po dach były skrzynie pełne książek, cała biblioteka. Czego tam nie było: od pięknie oprawionej encyklopedii, słowników, aż po piękne powieści, wyborne podręczniki techniczne, atlasy, mapy – niektóre tak duże, że na całe ściany mogły być zawieszane. Miały po kilka metrów szerokości i długości. Były też lustra, obrazy olejne.

Stodoły były pełne mydła, proszków do prania, pasty, kremów, smarów, farb. Nigdy bym sobie nie wyobrażał, że za wojskiem mogą iść takie wielkie zapasy towaru. Bielizna nowiusieńka, letnia, zimowa, materiały ubraniowe, sterty butów, kaloszy, saperek, owijaczy, onuc, prześcieradła, poszwy, poszewki. Można było dostać zawrotu

głowy. Na podwórku stały beczki z oliwą, smarem, naftą, ropą. Nie sposób tego wymienić, bo do tego była jeszcze żywność.

Biegałem od stodoły do stodoły: tu coś brałem, tam znów zostawiałem, bo spotkałem coś ciekawszego i tak z jednej stodoły do drugiej, ludzie chodzili i wybierali. Szły całe procesje. Myślę, że żywność i co lepsze produkty czy przedmioty zostały od razu rozgrabione, jak wojsko opuściło wieś i nim weszli Niemcy, ale jeszcze długo potem ludzie przebierali. Niemcy tego nie brali, bo produkty były przebrane, porozsypywane, często zdeptane i brudne. Tak, że cały majątek poszedł na marne.

Była też na Starym Złotnie olbrzymia gęsiarnia, którą pod swym zarządem mieli Żydzi. Tuczono tam tysiące gęsi. Były ich tak wielkie ilości, że gęganie było słychać o całe kilometry. Jak wkroczyli Niemcy, gęsi te postanowili rozdać ludności cywilnej. Proszę sobie wyobrazić ile tego było: przez dwa dni ludzie od rana do nocy szli gęsiego i po dwie gęsi każdy mógł sobie wziąć. Pamiętam, że wtedy cztery razy tam byłem i osiem gęsi przyniosłem do domu. Przynieśliśmy wtedy w sumie dwadzieścia cztery gęsi, więc było co jeść. Porządek przy tym był, bo wpuszczano pojedynczo jedną bramą, a drugą wypuszczano, a ponieważ Niemcy stali przy bramach, nikt się nie pchał. Pamiętam, że całe Nowe Złotno, Cyganka i kto tylko wiedział, zaopatrzył się w gęsinę i niektórym do świąt starczyło.

Nie było domu, gdzie by nie gęgały gęsi. Szopy, kojce, klatki również można było rozbierać i drzewa ludzie sobie naznosili. Myślę, że Niemcy dlatego tak wspaniałomyślnie rozdali te gęsi, że były własnością Żydów, których od razu prześladowali. Dla niektórych rodzin był to olbrzymi zastrzyk mięsny. Do tego jeszcze doszło nagromadzenie różnej żywności po wojskowych magazynach. Wszystko to razem wzięte dało sporo zapasów i spiznarki pęczniały w wielu domach.

Pierwsze dni wojny przyniosły wielkie wydarzenia i nikt nawet nie myślał, co z tego będzie. Każdy starał się jak najwięcej

zdobyć dla siebie. Ludzi opanowała gorączka gromadzenia i jak w Ameryce, ciągnęły sznury ludzi za złotem, tak tu rozglądano się za wszystkim, co i gdzie było darmo do wzięcia. Niczym dotknięci gorączką złota przez kilka dni ludzie biegali i nosili na plecach czy pod pachami, co tylko się dało.

Mnie, jak zwykle, szczęście sprzyjało, gdyby nie magazyny armii polskiej, która wszystko zostawiła, gdyby nie gęsiarnia, niczego bym nie zobaczył ani nie uczestniczył w niczym. Nadal twierdzę, że urodziłem się pod dobrą gwiazdą, bo mało ludzi mogło przeżyć to, co ja. Wydarzenia, które opisuję od samego dzieciństwa, działały się jedno po drugim, zazębiały się i nachodziły na siebie tak, że praktycznie tkwiłem w nich i nie było roku, który minąłby mi monotonnie.

Były to duże sprawy i dobrze się stało, że mi myśl przysłała, aby wszystko spisać dla upamiętnienia. Jasne, że dużo zdarzeń przeoczyłem, ale i tak pozostało wiele faktów i czytelnik może wyobrazić sobie, co w owym czasie się działo. Szczególnie dużo pomijam spraw drobnych, bo i pamięć zawodzi i nie mam czasu usiąść nad tym pamiętnikiem i przy każdym kolejnym rozdziale zastanowić się, pomyśleć spokojnie, co wtedy jeszcze się działo. A przecież ja nie opisuję wydarzeń politycznych, nie podaję cen, bo wszystko nie jest już do odtworzenia.

Z drugiej strony myślę, że wiadomości na tematy polityczne i o zdarzeniach historycznych można odtworzyć na podstawie prasy, książek i innych publikacji. Natomiast opisywane tutaj fakty, mało kto podaje i dlatego zapiski te mogą być cenne, gdyż są to sprawy dnia codziennego.

Opisałem, przede wszystkim borykanie się z trudnościami życia. Po drugie przedstawiłem rzeczywiste fakty i nie ma tu nic zmyślnego. Pamiętnik ten jest może napisany trochę chaotycznie, ale chcę przekazać to, co sam przeżyłem. Ile w życiu przez tak krótki okres może się dziwnych spraw przydarzyć jednemu

człowiekowi. Do tego to także Historia, choć mowa tu o życiu zwykłej polskiej rodziny.

Czyż to nie śmieszne, że mogłem wtedy, ze stodoły pełnej bogactw, wziąć kilkudziesięciotomową encyklopedię, oprawioną w zielone płótno, wytłaczane złotymi literami, o cudnych kolorowych ilustracjach, która dziś warta byłaby fortunę? Tymczasem ja głupi, czternastoletni chłopiec, dzwigałem woreczki. Woreczki o różnej pojemności, od małych, do większych, z płótna lnianego, ściągane tasiemką. Sypałem do nich gwoźdźniki, żabki pod buty, podkówki i wszystko dzwigałem do domu. A przecież była tam także piękna porcelana, lśniące widelce, noże, łyżki. Zamiast brać bieliznę, brałem owijacze, furażerki. Przecież mógłbym wybierać co cenniejsze rzeczy i przechować, bo taka możliwość zawsze istniała, ale kto o tym wiedział? Dziś myślę, że już takiego głupstwa bym nie zrobił. Chociaż kto wie, gdybym się znalazł w obliczu tak olbrzymich skarbów, czy rozum dyktowałby właściwe zachowanie? Może znów bym wybierał bezużyteczne rzeczy, jak wtedy. Gwoździe, które wojsko nabijało w buty też sobie nabijałem w trepy więc się zużywały, ale było tam wiele innych rzeczy na wagę złota.

Człowiek ma nieraz skarby w zasięgu ręki, a nie sięga po nie, tylko przechodzi obok. Tak było i ze mną. Do śmierci uczymy się i umieramy głupcami. Błędy popełniają uczeni, a co dopiero pastuszkowie. Fakt pozostaje faktem, że można było wtedy wziąć sobie dużo cennych rzeczy i na pewno niektórzy z tego skorzystali. Ja byłem za młody i może dlatego popełniłem niejednego błąd. Chociaż nie żałuję tego. Nigdy nie byłem chciwy ani chytry, i dlatego może życie nie idzie mi po grudzie. Nie marzy mi się bogactwo ani sława. Zadowalam się tym, co mam i co stopniowo mogę osiągnąć. Samo życie, tak urozmaicone i pełne wrażeń, wynagradza mi to, co inni mają, a czego nie przeżyli jak ja. To jest ważne.

Dziś, po sześćdziesięciu latach twierdzę, że moje życie pełne było radości, ciekawych wydarzeń i przeżyć, oby tak dalej. Nie będzie mi wtedy niczego żal. Przeżyte lata dały mi całkowite zadowolenie. Mało miałem spraw przykrych i gdyby nie mój miękki charakter, na pewno miałbym jeszcze większą swobodę działań. Za dużo poświęcam się żonie, dzieciom, rodzinie i kolegom. Brak mi jest czasu dla siebie i to jest mój błąd, ale tak sobie ułożyłem życie i muszę wytrwać. Znów się zagadałem i piszę nie na temat.

Wiadomo, że do szkoły nie chodziliśmy. Co prawda przypominam sobie, że coś tam było jakiś czas ze szkołą, ale jedno jest pewne – nie skończyłem siódmej klasy. Jak to było ze szkołą, dokładnie nie pamiętam.

Nie przypominam też sobie, czy dzieci chodziły do szkoły. Do pracy byłem jeszcze za młody. Niemcy przecież nie mieli aż tyle czasu, aby zajmować się takimi podrostkami. Wszyscy musieli mieć jednak wyrobioną palcówkę. To była taka karta z danymi każdego obywatela i na niej był odcisnięty kciuk. Gdzieś jeszcze taką kartę mam. Mimo czternastu lat pozostałem w domu nic nie robiąc. Dużo wyręczałem rodziców, bo zawsze narąbałem drzewa, węgla przyniosłem, napaliłem w piecu. Do sklepu po wszystko chodziłem, darmo więc chleba nie jadłem.

W międzyczasie było niefortunne wesele siostry i jej późniejsza choroba, cesarskie cięcie, aby ratować dziecko, więc do wyżywienia było nas jeszcze sporo. Jak już pisałem wcześniej, obaj bracia poszli na Warszawę z tym, że po kilku dniach wrócił Czesław, a Stanisław – nie. W tym okresie właśnie, czyli we wrześniu, w Łodzi wybuchła epidemia czerwonki, na którą Czesiek zachorował i w krótkim czasie, w październiku, umarł. Brat Stanisław przyjechał z Warszawy w listopadzie. Brał udział w obronie stolicy. Wigilię – pierwszą w czasie okupacji – spędzaliśmy jeszcze w gronie całej rodziny, z wyjątkiem Czesława. To była

nasza ostatnia wigilia spędzona razem w rodzinie i z rodzicami. Następne Święta zastały mnie już gdzie indziej.

Minęła zima, zacząłem znów chodzić po trawę, później na grzyby i tak minęło lato 1940 roku. W tym czasie siostra z dzieckiem uciekła do protektoratu, bracia Stanisław i Apolinary wyjechali do Niemiec, w domu zostałem jedynie z siostrą Krystyną. Była nas czwórka. Czasu miałem dużo, więc trochę wieczorami czytałem, może ów rok czterdziesty był w moim życiu najspokojniejszy. Nic się nie działo. Mało kto przychodził, bo Niemcy zabronili zgromadzeń, a do tego Polakom wolno było tylko poruszać się po ulicach do dwudziestej pierwszej, każdy więc siedział w domu, byle tylko nie wchodzić Niemcom w oczy. Często słyszało się o aresztowaniach, łapaniach i wywożeniu do Niemiec, bądź do obozów.

My młodzi, z nudów, od czasu do czasu staraliśmy się robić Niemcom na złość, ale trzeba było bardzo się pilnować. Niemniej raz, biegając po blokach na osiedlu Montwiłła-Mireckiego, to jest na Manii, jeden z kolegów schował siekierę Niemcowi, który rąbał drzewo i na chwilę wszedł do domu. Kiedy Niemiec wyszedł z mieszkania i zobaczył, że nie ma siekiery, zaczął krzyczeć i pobiegł na posterunek, bo był niedaleko, w sąsiednim bloku. Wtedy wypadło kilku żandarmów i zaczęli nas gonić. A ponieważ nie czuliśmy się winni, więc stanęliśmy. We trójkę, bo ten, co schował uciekł.

Zabrano nas na posterunek i zaczęło się przesłuchanie, kto ukradł siekierę. Ponieważ nikt z nas jej nie wziął, nie mogliśmy się przyznać i na zadawane pytania każdy odpowiadał, że nie wziął, nie widział i nie wie nic o siekierze. Ten, który nas pytał, miał taką drewnianą pałeczkę grubości palca i nią uderzał nas po głowie, aż wyskakiwały nam długie basiory. Dostałem pięć razy i inni też. Dali nam też po kilka razy po siedzeniu i w końcu zapytali, czy był ktoś jeszcze z nami. Jak się wydało, że był jeszcze kolega, jeden z żandarmów ubrał się, wziął psa

i wraz z nami powędrował na Nowe Złotno, parę kilometrów, gdzie mieszkał nasz kolega. Był on już oczywiście w domu i przyznał, że schował siekierę za drzwiami w bloku. Wtedy nas żandarm zwolnił do domu, a jego zabrał, aby pokazał, gdzie ta siekiera. Znalazła się, więc też mu trochę zajrzeli do tyłka i puścili.

Jedno jest jasne – Niemcy w takich wypadkach działali błyskawicznie, nie to, co nasza władza ani MO. U nas mogą kraść, bić się, a milicji nigdy nie ma na czas. Jak kogoś okradną, najpierw podejrzewa się współmałżonka bądź członka rodziny i śledztwo trwa aż do umorzenia. Za Niemców nie było umorzeń. Musiał się znaleźć sprawca czynu i zostać ukarany. Co kraj, to obyczaj i na to nie ma lekarstwa ani recepty.

W nocy z dwudziestego na dwudziestego pierwszego czerwca 1941 roku Niemcy otoczyli Nowe Złotno i rano, o godzinie 4:00, do każdego domu wchodziło po dwóch umundurowanych Niemców wyciągając śpiącą młodzież. Nie zważano na wiek, raczej sugerowano się wzrostem i kto tylko według gestapowca nadawał się do roboty, był aresztowany i wyprowadzany na ulicę. Nie było domu, gdzie by kogoś wtedy nie wzięto.

Ogółem w tę noc zabrano ponad 700 osób, przede wszystkim młodzież od lat dwunastu do szesnastu. Zabierano siłą, mimo rozdzierających krzyków matek i płaczu rodzeństwa. Działy się wtedy dantejskie sceny: krzyk, lament, ujadanie psów, groźne krzyki rozwścieczonych hitlerowców z nahajami w rękach, które często spadały na plecy dzieci. Była to noc grozy, rozpacz i przerażenia. Nikt nie zdawał sobie sprawy z tego, co się dzieje. Wszędzie było pełno Niemców w mundurach czarnych, zielonych czy brązowych, z pałkami i pejcami. W każdym domu słyhać było krzyki i zawodzenia. Do tego proszę sobie wyobrazić ujadanie psów, nie tylko w gospodarstwach domowych, ale i wilczurów, które Niemcy trzymali na smyczy, a które czekały na wystraszone, zbite w gromadę dzieci.